

E L Ź B I E T A D A B R O W S K A

W S P O M N I E N I A Z S Y B I R U
I U K R A I N Y

Tekst nagrania magnetofonowego dn. 12.10.1990
oraz ustne uzupełnienia, w tym syna Jana
Dąbrowskiego opracował dr Czesław B a z a n .

W r o c ł a w

Październik 1990 .

S P I S T R E S C I .

1. Pórozów- do 1941 r.	str. 1.
2. Kalża	" 4
3. Olchowatka	" 13
4. W Polsce	" 18

S P I S I L U S T R A C J I .

1. Mapa ZSRR z trasą transportu	str. 2/3
2. Mapa okręgu Narymskiego	" 3/4
3. Zaświadczenie o wymeldowaniu z Niestierowa 15.05.1944	" 12/13
4. Świadectwo szkolne Janka Dąbrowskiego 13.02.1946	" 17
5. Zdjęcie: Paweł Dąbrowski, Grodno lata trzy- dzieste	" 20
6. Zdjęcie: Elżbieta Dąbrowska, Kalża 1942	" 20
7. Zdjęcie: Elżbieta Dąbrowska, Legnica 1952	" 20

1. P o r o z ó w - d o 1 9 4 1 r.

Nazywam się Elżbieta Dąbrowska. Urodzona jestem w Żapoli -
czach, niedaleko puszczy Białowieskiej. Ojciec był kowalem i rol-
nikiem. Wyszłam za mąż za Pawła Dąbrowskiego, zamieszkałego w Po-
rozowie, i tam mieszkałam aż do 1941 r., do wywozu na Syberię.

Porozów- to było małe miasteczko; były tam cztery główne u-
lice i rynek. My mieszkaliśmy przy ul. Motoszańskiej /od wioski
Motosza/. W Porozowie prócz Polaków mieszkało wielu Białorusinów
i Żydów, był więc kościół i cerkiew. Szkoły były tylko powszech-
ne; najbliższe gimnazjum było w Swisłoczy.

W 1939 r. mąż poszedł na wojnę. Został wzięty do niewoli,
i w 1940 r uciekł z niewoli i wrócił do Porozowa. Ruscy chcieli
go aresztować, ale on się ukrywał, i nie dał się złapać. Czasem
przebywał w domu, czasem w stodole, a raz nawet ukrył się w du-
żym piecu chlebowym! Nie znaleźli go!

W czerwcu 1941 r. przyszli zabrać nas na Syberię. Byłam w
domu tylko z teściową i małym synkiem, który miał dwa lata. Mąż
poza pracą na roli zajmował się garncarstwem, i akurat pojechał
w tym dniu z młodszą siostrą do Wołkowyska sprzedać garnki. Moja
starsza siostra, Maria Jacewicz, mieszkała na sąsiedniej ulicy.
Miała męża Pawła i córkę Weronikę. 20 czerwca 1941 przyszedł do
mnie taki mały chłopczyk i powiedział, że Maria prosiła, abym
przyszła do niej, bo ją zabierają. Poszłam tam i zobaczyłam, że
stoją enkawudziści, a ona się pakuje. Mówi do mnie: "Co wezmę -
to wezmę, a resztę możesz sobie zabrać." Przedtem upewniła się,
czy może rzeczy pozostawione oddać siostrze. Powiedzieli "Da,
da, zabiraj wsio!" /Bierz wszystko/. A siostra była krawcową i
miała maszynę do szycia, pytała więc, czy mogę i tę maszynę za-
brać? "Da, da, pust' bieriot!" /Tak, tak, niech bierze/. Tymczasem
siostra dała mi parasolkę i powiedziała: "Weź tę parasolkę, a po-
tem przyjdiesz po maszynę i ją zabierzesz". Powiedziałam- dobrze,
i pożegnałam się z nią.

Koło kościoła była sala parafialna, w której odbywały się
zebrania stowarzyszenia katolickiego, i tam wszystkich zwozili
po kolei. Przyszłam do domu nie spodziewając się, że i nas wywio-
zą. Koło domu zobaczyłam ze trzech enkawudzistów. A mieliśmy takie-
go złego psa, który nikogo do domu nie puścił- i oni z tym psem
wojowali. Gdy przyszłam z tą parasolką, uspokoili psa, Enkawu-
dziści weszli do domu, wyciągnęli listę i czytają: "Jelizawie-
ta Dubrowska, Walerija Dubrowska, Paweł Dubrowski, Magdalena
Dubrowska - sobirajties!" "A dokąd?" "Pojediem w Rossiju!"

Teściowa zaczęła trochę histeryzować, ale- nie ma rady, trzeba się zbierać! Podjechała furmanka, i co zabieramy- to na furmankę. Co było w domu- to wiadomo, byliśmy na gospodarstwie, rolnicy. I świnia była zabita, i mięso było, i cukier, i mąka - wszystko było. Jeden z enkawudzistów mówi do teściowej: "Bieri, babuszka, bieri, wsio prigoditsia! Sachar toże, wsio bieri" /Bierz, babciu, bierz, przyda się. Cukier też, bierz wszystko/ Więc braliśmy, co tylko mogli. Napakowaliśmy cały wóz. Ubrania - nawet mężowskie, bo chociaż jego nie było, to myśleliśmy, że i tak to wszystko przepadnie. Naładowaliśmy cały duży wór ubrań oraz jedzenia, i chleba, i mięsa... Ale przyszedł drugi enkawudzista, popatrz na ten wóz i mówi: "Ooo, za mnogo!" - i wszystką żywność, do grama, wyrzucił z wozu!

Potem pojechaliśmy do tej sali, w której ludzi zbierali. W drodze, gdy jechaliśmy, wszyscy ludzie chcieli nas pożegnać, bo wiedzieli, o co się rozchodzi. Enkawudziści jednak nikogo do wozu nie dopuścili; traktowali nas jak nie wiem jakich kryminalistów. Nie wolno było nikomu podejść, aby zamienić choć słowo, albo coś podać. Ale jedna kobieta miała kawał wędzonego boczką, i z daleka wycelowała i buch! wrzuciła nam do wozu. I tyle mieliśmy jedzenia na całą tę podróż.

Gdy przyjechaliśmy do sali parafialnej, spotkaliśmy się tam z siostrą. Siostra spodziewała się wywozu jeszcze w 1940 r., bo mąż jej był wójtem, a wtedy kto był w policji albo jakimś urzędnikiem, tó już jechał na Sybir. Nasuszyła więc sobie sucharów, ale ponieważ nie wzięli ich w 1940 r.- sądziła, że już ich nie wywiozą, i teraz już nie miała chleba.

Na punkcie zbornym załadowano nas na wozy i pojechaliśmy do stacji do Wołkowyska- było to ze trzydzieści kilometrów. Po przyjeździe na stację zobaczyliśmy tam wagony towarowe. Otwarli te wagony i mówią "Pakujcie się!" Siostrę chcieli dać do innego wagonu, ale zaczęła prosić strażników; trafił się jakiś dobry człowiek i pozwolił nam jechać w jednym wagonie. Załadowaliśmy się, zatrzaśnięto drzwi. W wagonie było tylko jedno małe okienko a na zewnątrz chodził żołnierz z karabinem i pilnował, czy ktoś nie ucieknie. W wagonach były piętrowe prycze: jedna na górze i jedna na dole. Ubikację stanowiła dziura, wycięta w podłodze, i nic więcej. Trzeba się było załatwiać przy ludziach. Zrobiliśmy więc z przecieradeł taką kabinę, do której się wchodziło.

Gdy pociąg ruszył, to takim gromkim głosem zaczęliśmy płakać wszyscy, bo każdy wiedział, co go czeka. Po przyjeździe do

Mińska zatrzymaliśmy się na stacji, a za nami przyjechał pociąg w którym jeden wagon był zbombardowany i spalony; byli też ranni. Wtedy dowiedzieliśmy się, że już jest wojna. Mimo tego myśleliśmy jechali i jechali, i nas ta wojna nie dogoniła. Pojechaliśmy na Sybir, do Nowosybirskiej obłasti.

W podróży dawali tylko "kipiatok" /wrzątek/ i zupę bez żadnego tłuszczu, tylko woda i pokrzywa, no i ten chleb, bo bez niego to by ludzie poumierali. Pieniędzy żadnych w drodze nie otrzymywaliśmy. Pamiętam, że w wagonie na ścianie ktoś sobie powiesił chleb w woreczku. Rano wstaje - nie ma chleba; zabrali razem z tym workiem, a kto zabrakł - nie wiadomo. Każdy mówił, że nie on zabrakł. W wagonie było nas chyba ze 25 osób.

Gdy przyjechaliśmy do Nowosybirska, tam przeładowano nas na statek, i przewieźli nas do Parabieli. Tam była cerkiew, duża cerkiew, wtedy nieczynna. Nam ją otworzyli, i nas tam dali na noc; na drugi dzień mieli przyjechać po nas łódkami. Położyliśmy się w tej cerkwi do spania. A w nocy rozbudziły nas jakieś niespodziane ruchy nad głowami. To latały nietoperze! Wszyscy się ponakrywali z głowami, bo mówią, że jak nietoperz się wplącze we włosy, to trudno go stamtąd wyciągnąć!

Rano powiedziano nam: "Zbierajcie się nad brzeg rzeki Kalży. Zaraz po was przyjadą". "Charaszo" - oprzenosiliśmy swoje bagaże co kto miał, na brzeg i na brzegu siedzimy i czekamy. Patrzymy - jedzie łódka. Jedzie - ale kto nią kieruje i wiosłuje? Widać, że wiosłują, ale mają takie głowy czarne, że nie widać, czy to człowiek! Jakieś diabły jadą, czy co? Gdy przyjechali do nas, zobaczyliśmy, że oni mieli takie czarne siatki na głowach, do ochrony przed komarami^x.

Przywieźli nas na tę Kalżę, porozdzielali po kwaterach - a tu komary się za nas wzięły!

^{x/}-----
w rzeczywistości siatki, o których mowa, na sycone dziegciem, i dlatego czarne, służyły do ochrony przed meszką - drobnymi muszkami. Przed komarami chronił tylko dym. Uw. CB.

2. K a l ż a .

W Kalży było chyba z piętnaście domów. Żadnych sklepów nie było. Jak sobie ludzie posadzili jakiegoś kartofla, to mieli- nic więcej. Mieszkali tam zesłańcy z roku 1918-1920, kułacy. Wszyscy tam byli zesłańcami. Przydzielili nas tam na kwatery do poszczególnych rodzin. Ten, u którego myśmy mieszkali, mówił: "Wam to choraszo. Wy przyjechali, was dali na kwartiru, a nas prwiewzli i wygruzili w les- i diełaj czto chcesz" /Wam to dobrze. Przyjechaliście, dali wam kwatery, a nas przywieźli, wyładowali w lesie- i róbcie co chcecie./ Nikt nie miał mieszkania; cały ten posiołek to oni sami zbudowali; przedtem były tylko dwa domy, a pośrodku było pusto, i to oni już sami pobudowali całą wieś. Wzięli siekiery- i pobudowali..

Mieszkałam tam u niejakiego Dołmatowa Michała. Miał on niby dwa pokoje i kuchnię; mieli tylko jedno łóżko, a było tam dwoje rodziców i czworo dzieci; potem urodziło się jeszcze piąte. Był tam w domu taki "ruski" piec, na którym niektórzy śpali. Dołmatow miał tylko na sobie jedną kufajkę i spodnie, nic więcej. Jego żona miała spódnice z worka, takiego jak u nas używa się na kartofle. Im to jednak nie przeszkadzało; chodziło tylko o to, żeby nie być głodnym.

W Kalży z naszej rodziny byłam ja, Elżbieta Dąbrowska, z dwuletnim synem i z teściową, oraz moja siostra z córką- lat 18, chodziła zdaje się do ostatniej klasy gimnazjum. Oprócz nas była tam samotna p. Popławska /nie wiem, dlaczego nie pojechał razem z nią jej syn/; była rodzina Gutowskich: dwu braci i siostra; Michałina, Józef i Franciszek; był też niejaki Kowalczyk, wydaje mi się że Białorusin; była też p. Janina Bobrowicz- żona właściciela majątku. Jej męża już wcześniej aresztowano. W dniu aresztowania i wywozu Bobrowiczowa była z córką, ale córka wyjechała do Wołkowyska, do swojej cioci. Gdy przyszli ich zabierać- zabrali samą matkę- staruszkę. Córka w Wołkowysku dowiedziała się, że matkę zabrano. Poszła na stację i zobaczyła, że stoi pociąg z deportowanymi, zaczęła szukać matki. Jeden z konwojentów, chodzących koło transportu, powiedział do niej "Ty durnaja, ty udiraj damoj" /Głupia, uciekaj do domu!/ Córka jednak powiedziała, że mamy nie zostawi, bo ona jest w podobnym wieku, i jak ona tam będzie sama żyła! Chodziła więc od wagonu do wagonu aż znalazła matkę, i z nią pojechała, i w Kalży pracowała. Mimo, że nie była przecież przyzwyczajona do pracy, bo w domu mieli parobków- to w kołchozie pracowała szczerze, lepiej niż niejeden z gospodarstwa.

W Kalży pracowaliśmy w miejscowym kołchozie. Pierwszą naszą robotą po przyjeździe było zdzieranie kory z jakichś drzew. Nazywali

to "dub drat" /darcie dębu/. Nie wiem, co to było za drzewo, takie dość cienkie. Korę tą zdzieraliśmy, wiązali w snopki, i to szło do garbarni. Mieszkaliśmy nad samą rzeką, i do tej pracy codziennie musieliśmy przejeżdżać przez Kalżę- rzekę. Mostu żadnego nie było. Codziennie przejeżdżaliśmy takim "kajakiem" na drugą stronę, gdzie w lesie były drzewa z tą korą. Pewnego razu do łodzi zasiadało tyle osób, że woda była prawie na równi z brzegami "kajaka"; wodał omaal nie wlatywała do łodzi. Jedna z kobiet, właśnie Popławska, przestraszyła się, że "kajak" tonie, i skoczyła do wody. Na szczęście ją złapali i wysadzili na brzeg. Więcej już jej nie zabierano do tej pracy.

Gdy skończył się sezon darcia kory- nastąpiły sianokosy. Zgromadzili wszystkich w tam "posiołku" i mówią że "Pojediem na pakos" /pojedziemy na pokosy/. Na pokos trzeba było jechać 8 km rzeką Kalżą. Brygadzysta zebrał nas wszystkich, ale nie powiedział- gdzie to jest ten "pakos". Podwieźli dużą łódź ciężarową. Mieściła się w niej kosiarka konna i koń. Tam dokoła były takie błota i trzęsawiska, że kosiarka nie mogłaby tam dojechać. W tych miejscach koszone kosą, a gdzie było dostatecznie twardo- używano kosiarki. Dziwię się, jak w tej łódce wszystko się zmieściło- i my, i kosiarka, i koń!

W drodze pytaliśmy, gdzie tam będziemy nocować. Odpowiedziano, że "tam jest izbuszka". Myśleliśmy, że tak rzeczywiście będzie. W drodze ktoś grał na harmonii; u nich tam -głód nie głód, bieda nie bieda- ale zawsze wesoły naród. Tymczasem zaczął padać deszcz. Harmonista nakrył się z głową, i gra dalej pod tą kufajką!

Po przyjeździe na miejsce zobaczyliśmy, że stoją tam tylko ściany, zrobione z drzewa, obciosane siekierą- sam zrąb. Dachu wogóle nie było- i to miała być "izbuszka"? Brygadzysta nas uspokoił "Czto- kryszi niet? Siejczas budiet krysza!" /Co, nie ma dachu? Zaraz będzie/. Wzięli kosy, poszli, nakosili trawy, nałamali gałęzi - bo tam przecież wszędzie tylko las, tajga- nakładli gałęzie na górę /zamiast sufitu/, zasypali trawą na wierzchu i mówią "Wot i krysza" /ot i dach/. Podłogi tam nie było; po skończonej robocie wszyscy kładli się tak na ten piasek, i tak spali.

Do jedzenia dawali trochę chleba, i ryby, bo tam było pełno ryb.

Była tam ze mną siostra i jej córka, a siostra była nie młoda. Gdy nam dawali kosy, to mówiłyśmy, że nie umiemy kosić, bo kobiety u nas nie kosiły, tylko mężczyźni. Ale tamtejsze kobiety, stojące obok, powiedziały "My też nie umiałyśmy, nauczycie się!". Tam przeważnie wszystko robiły kobiety, bo mężczyźni byli na wojnie.

Z początki ich nie brali, bo to był "wróg" - kułak, ale potem jak zabrakło mężczyzn, to brali i tych.

Zrobiliśmy sobie takie "pałatki"- jak oni mówią /szałasy/ i pod tym spaliśmy, z siostrą i z siostrzenicą. Mimo, że pochodziłam z gospodarki- kosić nie umiałam. Początkowo machałam kosą po tej trawie, tak przyklepałam do ziemi, obejrzałam się- a trawa nadal rośnie! Tak przejęłam się tą robotą, bo to jednak trzeba żyć, trzeba coś robić, trzeba coś umieć. Gdy wstaliśmy rano, siostrzenica Wercia /Jacewicz/ mówi, że we śnie moje ręce cały czas pracowały, i coraz to uderzałam ją w bok! Tak się przejęłam tą robotą! Wercia powiedziała "Oj, ale ciocia kosiła dzisiaj całą noc!" Trwało to trzy - cztery dni- że pracowałam byle jak, ale potem nauczyłam się i kosiłam pierwszorzędnie.

Strasznie dokuczały nam komary- najbardziej ze wszystkiego. Ja już mówiłam- na tej Syberii- żeby choć nie do domu, ale od komarów tych nas wywieźli!

Zimą dla kobiet nie było specjalnie zajęcia, ale zawsze coś dawali do roboty. Sieci nie robiliśmy. W zimie najpierw byłam w kołchozie, a potem poszłam do roboty do domu dziecka, i tam pracowałam. Tam miałam dobrą pracę. Dom dziecka znajdował się w Nowosielcach, 3 km od Kalży. Z początku tam trochę sprzątałam, a później dyrektorka powierzyła mi pilnowanie dzieci. Były to dzieci i kołchoźników, i zesłańców. Była np. jedna Łotyszka. Gdy jechaliśmy z Nowosybirsk, i tam przeładowywali nas na statek, to przywieźli też i Łotyszy.

Dom dziecka opalano drzewem- drzewa tam bowiem nie brakowało. Na dole mieściła się "raboczaja komnata" w tym domu dziecka, t.zn. odbywały się tam różne zajęcia, np. majsterkowanie. Była to duża sala. Na górze znajdowały się sypialnie. Trzeba było dopilnować, bo dzieci wstawały, łaziły, były głodne- to w czasie spaceru znajdowały czasem jakiegoś kartofla, i w nocy go piekły. Wsadzały kartofle do pieca, w którym się paliło, i w nocy wstawały i jadły te ziemniaki. Pewnego razu, gdy był silny mróz- napalili silnie w piecach. Dzieci, chodząc po śniegu, pomoczyły sobie skarpety albo o-nuce, i wieczorem powtykały je za piec, aby im to wszystko wyschło. Ja siedziałam w nocy na dole, przy stole- podarłam się i zdrzemnęłam. A tu przyszła sama dyrektorka na kontrolę! Przychodziła, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Tym razem otworzyła drzwi i powiedziała : "Dąbrowska! Ty przecież spłoniesz!" Zerwałam się, patrzę- a tu w korytarzu pełno dymu. Wszystkie te szmatki i skarpetki się zapaliły, i spaliły! Na szczęście- dyrektorka była jeszcze dobrą kobietą. Mogła mnie przecież zwolnić z roboty, albo i jeszcze coś innego. Ale ona tylko ostrzegła- pamiętaj, żeby drugi

raz się to nie przydarzyło! Tyle powiedziała.

W Kalży było chyba z dziesięć rodzin polskich. Nikt z Polaków tam nie zmarł, dopiero gdy jechaliśmy w 1944 r zmarła jedna osoba w Tomsku, niejaki Kowalczuk- chyba Białorusin?

Gdy przyjechaliśmy do Kalży, i porozdzielano nas do kwater- to wzięły się za nas komary. Gdy już mieszkaliśmy u Dołmatowa, to zanim położyliśmy się spać, "choziajka" musiała na noc wykurzyć- zapalić coś takiego, żeby był dym, i żeby komary poodlatywały, bo i- naczey nie dałyby spać. Okropnie było. Również na polu- prosiliśmy Boga, żeby był wiatr, bo jak był wiatr, to one nie miały takiej siły, trochę ich "zwał z nóg".

Jakiś człowiek z innego kołchozu - nie wiem, czy go przesiedli- li, czy raczej sam chciał się do nas przenieść- przyszedł, ale nie miał mieszkania. Miał żonę i córkę, chyba piętnastoletnią. Co by- ło robić? Ponakładali kufajki, podpasali się paskami, siekiery za pas- i do lasu. Tam zrąbawali drzewa- nie bardzo grube, i nie bar- dzo cienkie, przynosili na plecach, i zbudowali sobie dom, taki jak ten, który mieliśmy na sianokosie, taka izbuszka. Na sufit nasypa- li piachu- i to już dach! Trwało to może dwa tygodnie, i już mieli dom. Między belkami oczywiście były dziury, nie było to szczelne. Brali więc mech z lasu i tym mchem zapychali dziury. W tym domu po- tem nawet mieszkalam, bo ta gospodyni namówiła moją teściową, żeby się do niej przeprowadzić od Dołmatowych. I teściowa posłuchała; ten nowy gospodarz nazywał się Gubarew. Tak więc poszliśmy tam mieszkać. Zadnego łóżka tam nie było; podłoga była z gliny uklepa- nej, a w ścianach tkwiły te mchy. Była tylko jedna prcza- oni spa- li na jednej, a my na drugiej. W tym mchu zagnieździło się tyle pluskiew, że w nocy nie można było spać. Za oświetlenie służyła lampa naftowa.

W Kalży otrzymywaliśmy pomoc od Męża Zaufania z Parabeli. Roz- dzielala tę pomoc siostrzenica Weronika. Dostawaliśmy przeważnie mękę wojskowe ubrania, stare wojskowe buty . Wercia była Mężem Za- ufania na Kalżę /i Nowosielcewo/, i dostawała zawiadomienia aby przyjechać i zabrać to, co przyznano.

Pewnego razu wybrałyśmy się ze starszą siostrą do Parabeli po odbiór towarów. Było dużo śniegu i okropny mróz. Miałam wtedy jesz- cze kozuch męża, i na nogach walonki. Gdyby człowiek miał zwykłe buty, to by nie poszedł- zamarzłby i koniec. Pojechałyśmy więc z siostrą i dostałyśmy 50 kg mąki na całą Kalżę, ubrania i buty wojs- kowe, i przyjechałyśmy z powrotem. Wercia była upoważniona do roz- działu tej mąki, i pamiętam, że było po pięć kilogramów na rodzinę. Było tam więc dziesięć rodzin. Był to chyba rok 1942, bo w 1943 r. Wercia poszła do wojska.

Wkrótce po naszym przyjeździe do Kalży ogłoszono nam o zesłaniu na 20 lat. Odbyło się to mniej więcej tak:

Byliśmy wten czas na polu, bo to były żniwa. Przyjechali z NKWD i zebrali wszystkich Polaków w jedno miejsce, i powiedzieli: "Czy wiecie, jak długo tu będziecie przebywać?" Odpowiedzieliśmy, że nie wiemy. A oni: "Dwadzieścia lat". Każdy tylko jęknął - oji tyle. A moja siostra, która była odważna i lubiła mówić prosto z mostu, powiedziała: "A jak ja nie będę żyła dwadzieścia lat, tę będę musiała stamtąd wrócić i tę karę odbywać?" A enkawudzista powiedział: "Nie budź ty takaja umnaja!" /Nie bądź taka mądra/ Obowiązku meldowania na milicji nie było, nie wolno było tylko z tej miejscowości się ruszać.

Wkrótce potem ogłoszono amnestię. Kto chciał- mógł jechać gdzie chciał. Ale dokąd pojedziesz? Nic nie wiadomo, gdzie jechać i gdzie jest lepiej. Niektórzy jednak od razu pojechali. Nie wydano nam żadnych dokumentów amnestyjnych- podobnie jak przedtem nie wydano dokumentów zesłańczych. To było przecież tak daleko od urzędów, koniec świata. Również później nie wydano nam żadnych dowodów osobistych /"pasportów"/.

W Kalży synem opiekowała się teściowa, a ja pracowałam. Teściowa była już w takim wieku, że nie wymagali, by szła do pracy. Gospodyni, u której mieszkalam, pracowała w "jaślach" /Żłobku/, i mówi do mnie, żebym syna oddała do "jaśli". W jaślach dawali darmo mleczną zupę i pokruszony chleb; to pozwalało na zaspokojenie głodu, można już było żyć. Syn był jednak dotychczas cały czas ze mną- i w domu, gdy mąż poszedł na wojnę, i w czasie transportu /a jechaliśmy prawie miesiąc/, i tak był do mnie przyzwyczajony, że nie mógł przebywać w tych jaślach. Cały czas stał tam w oknie i płakał. Gdy kierowniczką pytała go- dlaczego płacze, mówił, że chce do domu. "A co ty tam masz w domu? Tutaj masz mleko, i masz co jeść"- mówiła kierowniczką. Ale on przecież nie rozumiał, co to znaczy "nie ma". Odpowiedział, że on ma wszystko w domu, i tu nie chce przebywać.

W jaślach syn był jedynym dzieckiem tak małym /2 lata/; bał się z dziećmi rosyjskimi i nauczył się mówić po rosyjsku. A onw wtedy dopiero zaczął mówić! Pewnego razu posłałam do niego do żłobka; gdy mi go przynieśli, zaczął coś mówić do mnie po rosyjsku- tak, że nie mogłam go zrozumieć!

Dołmatowowie, u których mieszkaliśmy, mieli syna Miszę. Chłopak miał już sześć lat, ale dopiero zaczął chodzić, gdyż cierpiał na "angielską" chorobę. Miał dużą głowę, jak u starszego człowieka, a nogi bardzo cienkie. Ten Misza wiedział, że mój syn jest Polakiem. Gdy się bawili, to było wszystko dobrze, ale gdy się pokłó-

cili, to Misza przezywał mego syna: "Polák! Polák! Polák!" co mojego syna strasznie denerwowało. Ale kiedyś na takie odezwania się Miszy wogóle nie reagował. Siostra spytała go "Cóż to ty dzisiaj taki jesteś spokojny?" A syn odpowiedział "Mnie jeszcze łuczsze!"- t.zn. jeszcze mu lepiej, czuje się wyróżniony tym, że on Polak.

Innym razem, kiedy on był w "jaślach", pracowałam na polu. I w tym czasie wychowawczyni przyprowadziła całą ich grupę na pole /a były to żniwa/. Musiałam się wtedy schować za snopki, bo gdyby mnie zobaczył, to by uciekł do mnie.

Wokół Kalży rozciągał się las i moczary. Gdyby ktoś się tam zapuścił, nie znający okolicy, to by zabłądził, i zginął. Przed laty obecni mieszkańcy Kalży wykarczowali kawał tajgi, pobudowali sobie domy i porobili pola kołchozowe- a dookoła był las.

Kiedyś wychowawczyni z domu dziecka poszła z dziećmi na spacer do lasu. A był to las bez końca; i dwie dziewczynki się odłączyły od grupy: jedna była Łotyszka, a jedna Ruska, bo tam były różne narodowości, ale Polaków było mało. Gdy wychowawczyni przyszła z dziećmi do domu, musiała obliczyć, czy wszystkie są, i stwierdziła, że dwu dziewczynek brak. Chodziłyśmy wtedy przeszło dwa tygodnie szukać ich; szli wtedy wszyscy na poszukiwania, gdzie kto pracował. Był z nami jeden przewodnik, a myśmy szli tak, aby jeden drugiego widział, żeby nikt nie zginął- ale dziewczynek nie znaleźliśmy.

Niektórzy mówią, że widzieli tam wilki albo niedźwiedzie. Ja tam nie widziałam żadnego wilka, ani niedźwiedzia, tylko dzikie kaczki. Myśliwi chodzili tam i na te kaczki polowali.

Ostiaków tam nie widziałam- byli tylko Rosjanie, a potem Polacy i Łotysze.

Po żniwach zboże układano na polu w stogi, i potem młócili na polu konną młockarnią /koń chodził jak w kieracie- w kółko/ i omłoczone zboże zsypywali na kupę, a potem zwozili do kołchozu. Kiedyś pracowałam przy omłocie. Było to dosyć daleko od Kalży, tak że tam nocowaliśmy. Młóciliśmy, słomę składaliśmy w stogi, a ziarno na kupę. Pamiętam, że byliśmy tacy głodni! Dawali nam do jedzenia tylko suche, gotowane kartofle i nic więcej. w łupinach. Nagotowali tych kartofli, wysypali na ziemię, i człowiek jadł. I jak smakowało! Gdy teraz o tym pomyślę...

Kiedyś po pracy- mieliśmy iść spać, ale byliśmy bardzo głodni, i mówimy- że są tu przecież surowe ziemniaki, woda jest, nabieramy i ugotujemy. Nie było nic więcej, nawet soli. Nagotowaliśmy tej zupy bez soli- smakowało, jak nie wiem! Najadliśmy się i poszliśmy spać pod słomą.

Kołchoźnicy w Kalży zajmowali się też połowem ryb- przy pomocy sieci. Ryby było dużo, ale musieli złowione ryby odstawić dla państwa. Dla siebie- jak popadło. Czasem u sąsiada naszego gospodarza można było kupić ryby- bo on się zajmował połowem. Oni mieli zgóry wyznaczone, że należy tyle a tyle oddać dla państwa. Rybę tę odsyłali soloną w beczkach.

Gdy przyjechaliśmy do kołchozu pracować, to nie mieliśmy nic do jedzenia; dawali nam tylko "kipiatok" i pokrzywę. Gdy poszliśmy pracować, to musieli nam dać zaliczkę. Dawali taki okrągły bochenek chleba- może trochę więcej jak kilogram na nas troje! I pisali "trudodni" /dniówki obrachunkowe/. A już tak się starałam, bo w ciągu dnia można i dwa "trudodni" zarobić, więc się starałam, by zarobić jak najwięcej. A rozliczenia tam następowały po nowym roku, po podliczeniu ile każdy ma trudodni. Z tego, co się zebrało- trzeba było tyle a tyle oddać dla państwa, a dopiero resztę dzielono na "trudodni". Wszystko zależało od tego, ile na polu zboża się obrodziło. Więc choć pracowałam zarabiając dwa czy trzy trudodni w ciągu dnia pracy- to jak zboża było mało, to wszystko szło dla państwa. Gdy po Nowym Roku przyszło rozliczenie, to okazało się, że byłam trzy kilogramy zboża winna! Musiałam to odrobić. Taka w kołchozie robota. Bo w pegeerze np na dniówkę płacą tyle i tyle, bez względu na wyniki, i już. A tu- taka robota. To wszystko przez to, że Stalin rządził, a do tego jeszcze była wojna.

W kołchozie traktorów nie było; młockarnia i kosiarka były tylko konne. Kosiarkę ciągnęły konie, a obsługujący siedział na takim krzesełku, i co nakosiła- to on ręcznie odrzucał, i trzeba było wiązać. Żadnych samochodów czy ciężarówek się tam nie widziało. Transport odbywał się wyłącznie łodziami.

Obowiązkowe dostawy dotyczyły nie tylko ryb czy ziarna, ale np i mleka. Nasza gospodyni musiała oddać 200 l mleka rocznie czy 250? A miała jedną krówkę. Na Syberii krowki takie małe, takie puchate - bo tam mróz, i dają mało mleka. Krowy stały w stajni, a czasem na dworze- one się mrozu nie bały. Tak więc wszystko trzeba było oddać "dla gosudarstwa"- a dla gospodyni niewiele zostało. Ona sama mleka tłustego ani chudego nie wypijała, tylko tyle- co zabieliła sobie wodę mlekiem!

Jabłek czy innych owoców tam nie było. Było za zimno- mrozy zimą dochodziły do 40°C.

Pewnego razu wybrałam się z moją gospodynią do lasu piłować drzewo na opał. Byłyśmy bardzo krótko; piłowałyśmy może 10- 15 minut. U góry było mi ciepło, bo miałam kufajkę albo jeszcze kożuch męża; rękawice z psa zrobione, a na nogach welonki

Walonki kupiłam- oddałam za nie dyrektorze Domu Dziecka narzute, taką jak widać na tapczanie. Te walonki to jest taka dobra rzecz, że choćby nie wiem jaki mróz- a nogi ciepłe. Ale policzki miałam odkryte- nie ma jak ich zakryć. I w pewnej chwili gospodyni mówi do mnie "Kuma Iwanowna! Ty lico oznobiła!" Odmroziłaś policzki/ Mówiła do mnie "kuma" bo trzymałam do chrztu jej dziecko; a "Iwanowna"- to po ojcu; oni tam wszyscy tak się nazywali. Złapała śniegu, i zeczęła mi nacierać policzki. Jak się śniegiem natrze to odmrożenie odejdzie, i nie ma żadnej rany.

Jak chodziłam do Parabeli zdjęcie robić - widocznie jednak wyrabialiśmy jakieś papiery, bo potrzebne było zdjęcie- wchodzi- my do fotografa, i czuję że coś mnie boli. Byłam wtedy też dobrze ubrana: i w waloach, i chustka na głowie, tylko policzki były na wierzchu. Gdy przyszedłam do domu, okazało się, że mam odmrożone policzki; gdy przyszedłam do ciepłego, odtajało to, i potem zrobił się strup; widać go nawet na tym małym zdjęciu- ale to zdjęcie niewyraźne.

Zima zaczynała się tam w październiku; gdy napadał śnieg, to jak ruscy mówili "u nas tolko 8 miesiacew zimy, a tak wsio leto i leto" / u nas tylko 8 miesięcy zimy, a pozatym lato i lato/. Pamiętam, że kiedy w październiku byliśmy na sianokosach, to grabiarka zagarniała zamrożnięte siano.

Jak wspomniałam, to wokół Kalży był taki dziwny las, i mocza- ry, że tam ani wilków, ani niedźwiedzi nie było. Nie tak, jak na przykład u nas w Zapoliczach. Zapolicze- to była wioska położona niedaleko puszczy Białowieskiej. Do puszczy można było dojść pie- chotą, nie trzeba było jechać. Pewnego razu wilki przyszły do wioski, wyciągnęły w nocy świnie z chlewa, zagryzły i co zjadły to zjadły, resztę zostawiły.

Tu w Kalży było za to dużo węży. Gdy się szło latem przez las, to stale z pod nóg wypryskiwały, i to tak co parę kroków. Pozatym były kaczki, na które polowali myśliwi. Myśliwi znali te lasy, i polowanie na "utki"; to było ich całe zajęcie. Zabijają i mają już co zjeść.

Radia we wsi nie było, gazet nikt nie widział. Wiadomości prze- kazywano tylko ustnie. Kołchoźnicy tylko czekali na przyjsie Nie- mców- żeby rozgromili kołchozy.

Co najmniej dwa razy w ciągu zimy widzieliśmy w Kalży konwo- je więźniów, gnanych z więzienia do więzienia. Zima, mróz 40 °C, nogi powijane szmatami- a oni idą od wioski do wioski. Eskortą na saniach. Miejscowi mówili wtedy "Tabun idiot".

Mimo dwudziestu lat wychowywania bez religii, ludzie w Kalży i okolicy byli nadal religijni. Nie było tam cerkwki ani popa, ale dzieci chrzcila jakaś babka. Ja byłam nawet matką chrzestną dziecka Dołmatowów. Oni byli wierzący "te wszystkie ruskie kułaki" Jak któraś kobieta przyszła na przykład do domu, to najpierw "pierekrestiłś" /przeżegnała się/, a dopiero potem powiedziała "zdrawstwujcie" /dzieńdobry/. Ale najpierw się przeżegnała. W kącie izby na półeczce stały ikony. Mieli tam też ciekawy obyczaj weselny: pan młody podjeżdżał na saniach do domu panny młodej i "porwał ją" z domu.

Jan Dąbrowski, syn p. Elżbiety, miał zaledwie dwa lata, gdy przyjechali do Kalży. Mimo to już zapamiętał stamtąd niektóre wydarzenia i obrazy. Wspomina, że wioska położona była u ujścia rzeczki Kalży do Obu, w terenie pofałdowanym. Domy stały na wzniesieniach terenu; do żłobka chodziło się przez dwie takie "górkę". Dom Dołmatowów stał po lewej stronie wsi, a po prawej ciągnęła się tajga. Rzeczka Kalża miała około 20 m szerokości, i płynęła w lewo, patrząc od strony wsi. Od brzegu włąb rzeki prowadził drewniany pomost, z którego korzystno do nabierania wody. Ten pomost zapamiętał, gdyż pewnego razu spadł z niego do wody; wyciągnęli go całkiem mokrego. Z pomostu chłopcy polowali też na żaby, których całe stada, jedna na drugiej- siedziały w wodzie. Nabijali je na drążki zaopatrzone ostrzem z gwoźdźcia. Zapamiętał też polowania na krety, oraz łapanie burunduków w "kapkany" /żelazne pułapki- samotrzaski/. Nie zajmował się zbieraniem szyszek cedrowych- był na to za mały. Wspomina, że w chałupie było pełno pluskiew i karaluchów, które chodziły po ścianach.

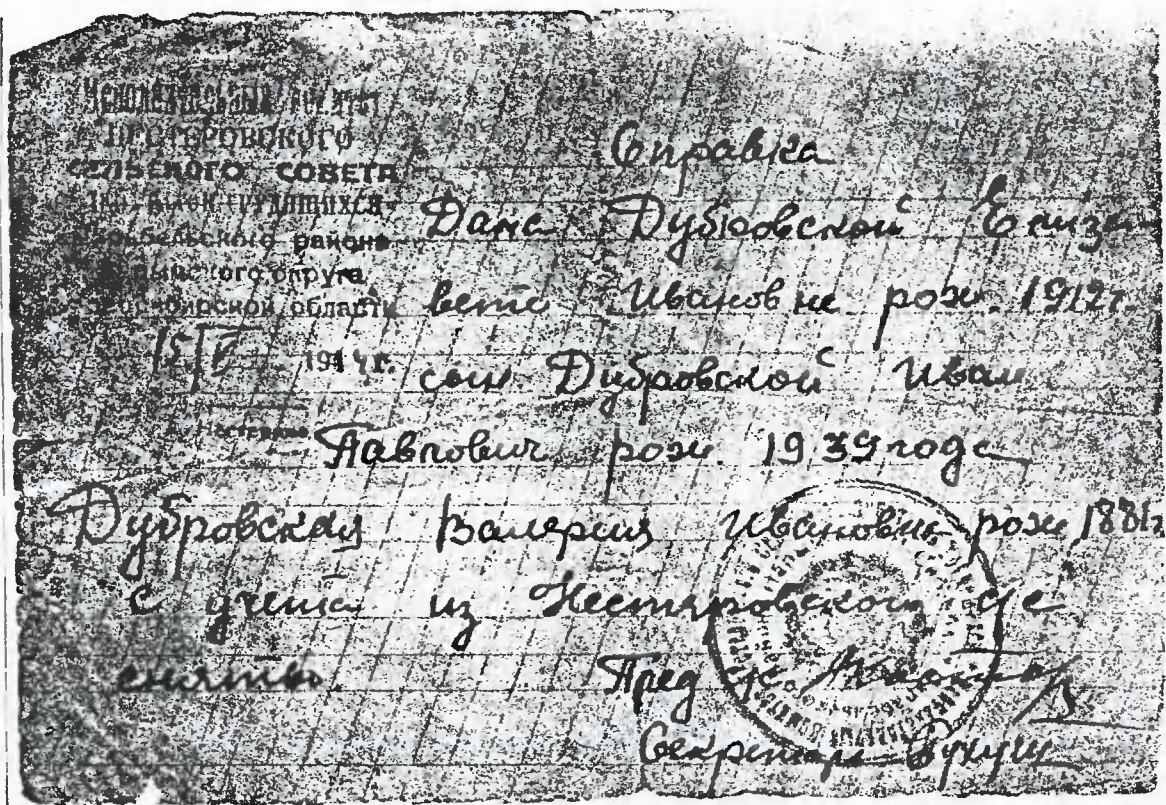
Zapamiętał też zabawy z Miszą Dołmatowem; grali w "babki", oraz w kości. Kości zwierzęca układało się w stos, i rzucało z pewnej odległości kijem, aby ten stos rozbić.

Mimo trudnych zapewne warunków życia- nie pamięta z tego czasu uczucia głodu. Mama, ciocia i babcia dbały o jedynaka!

- - - - -

W 1943 r przyszło zarządzenie, że będą brać do wojska polskiego. Pobór objął też i kobiety, bezdzietne zwłaszcza. Powołana została Weronika Jacewicz. Każdy myślał po jej wyjeździe, że ona jest w wojsku, tymczasem ona napisała list do matki, że przebywa w Nowosybirsku i pracuje w wytwórni amunicji. Matka postanowiła do niej jechać, "bo ona jeszcze młoda, sama nie zna życia i nie zna pracy- przed wywozem chodziła jeszcze do szkoły!"

I rzeczywiście ciocia pojechała, statkiem. A tu mróz



Komitet Wykonawczy
 Niestierowskiej
 Gminnej Rady
 Delegatów Robotniczych
 Parabielskiego Rejonu
 Narymskiego okręgu
 Nowosybirskiego obwodu
 15. V. 1944
 Niestierowo

Z a ś w i a d c z e n i e

Stwierdza się że Dąbrowska Elżbieta
 c. Jana, ur. 1912,
 syn Dąbrowski Jan s. Pawła, ur. 1939
 Dąbrowska Waleria c. Jana, ur. 1881 r.
 zostali wymeldowani z Niestierowa.

Przewodniczący Rady / - /
 Sekretarz / - /

taki ścisnął, że statek zamarznął po drodze na Obie. Pasażerowie wzięli jakieś tam sanki, wydostali się z tej rzeki i dotarli do Tomsku. Ciocia nie pojechała już do Nowosybirsk, bo już wiedziała, że Weroniki tam nie ma. A z Tomsku to się dostała do tej Riazani, czy jakiejś miejscowości o podobnej nazwie, i tam była już do samego końca, t.j. do 1946 r.

3. O l c h o w a t k a

W 1944 r. powiedziano nam, w maju, żebyśmy się szykowali, to wyjedziemy z Kalży. Podjechała Łódka, załadowali nas i zawieźli do Tomsku, do pociągu. Po drodze zabierali Polaków z różnych posesiołków. W Tomsku zmarł Kowalczyk; to był chyba Ukrainiec. Zmarł bez udziału polskiego księdza; przyszedł tylko ruski pop, i zrobili pogrzeb.

W Tomsku nocowaliśmy w jakiejś sali- w jakimś pustym budynku, po szpitalu, czy coś podobnego. Tam położyliśmy się spać; a jednej kobiecie przysniło się, ~~że ją napadł~~ pies, i zaczęła walić w żelazne drzwi-ki, bo leżała koło pieca- to wszystkich pobudziła.

W Tomsku parę dni gotowaliśmy sobie pożywienie- na brzegu, koło stacji kolejowej. Mieliśmy tam mąkę- tę, którą dostaliśmy z darów, i wodę, i nic więcej. Żadnego tłuszczu nie było; dali nam ponadto suchej ryby, takiej suszonej na słońcu. Była solona, i nie można jej było zjeść, taka była okropna. Nieopodal było targowisko, więc ludzie tam chodzili i sprzedawali tę rybę.

A na targowisku było pełno "żulików" /złodziei/. Jedna kobieta nosiła przed sobą te ryby, sprzedając- a nagle z tyłu podszedł jeden z "żulików", chwycił rybę i rzucił ją do tyłu. A tam już jego koledzy rybę złapali. Kobieta się obejrzała- a nigdzie nie ma ani ryby, ani nikogo z rybą.

Potem, pamiętam, gotowałam taką zacierkę: woda i kluski, to wszystko. Przyszedł taki jeden ruski żulik, i zdjął czapkę- miał taką ciepłą, futrzaną. Podstawił tę czapkę i mówi: "Lej". Myślałam, że on żartuje; mówię: "Co, tu lać?" "Lej, czto snotrisz" /Lej, co się gapisz/. Pomyślałam, że musi być bardzo głodny, i należałam mu zacierki do tej czapki. Potem za tą czapkę uganiali się wszyscy żulicy, a było ich chyba z dziesięciu!

W Tomsku przebywaliśmy parę dni, bo w tym czasie jeździli i zabierali tych Polaków. Moja teściowa poszła kupić chleba. Trzeba dodać, że przed wyjazdem z Parabeli sprzedaliśmy płaszcz męża siostry, zabrany jeszcze z Polski. A tam za chlebem była długa kolejka, w której panował wielki ścisk. Teściowa miała pieniądze schowane w kieszeni w spodnicy. Gdy doszła wreszcie w kolejce do zakupu chleba- sięga do kieszeni, a tu ani kieszeni nie ma,

ani pieniędzy! Wykroili żyłetką, czy czymś, i przyszła z płaczem, bez chleba.

Potem przyjechaliśmy do Olchowatki; tutaj- można powiedzieć, że było nieźle, dlatego że nie byliśmy tu głodni.

Gdy poszliśmy pracować do kołchozu- zaraz nagotowali zupy, takiego barszczu ukraińskiego: pomidory, ziemniaki i wszystko... Naprawdę, że można było zjeść i najeść się. Z początku, dopóki jeszcze po przyjeździe nie pracowaliśmy, to dawali nam jedzenie w stołówce.

Potem pracowaliśmy na "pods-obnom chaziajstwie" /gospodarstwie pomocniczym/, które należało do cukrowni. Był to kawałek pola na którym były ogrody warzywne, rosły kawony i arbuzy; było też trochę zboża- i przy tym pracowaliśmy. Był tam brygadzysta- Ukraińiec, oraz kierowniczką, która przychodziła sprawdzać, czy dobrze pracujemy. Brygadzysta był dobrym człowiekiem, i mówi do nas: "Jak przyjdzie kierowniczką, to powiedzcie, że ja na was "haukał". A po ukraińsku to znaczy "krzyczał". Kierowniczką przyszła i pyta "Kak rabota idiot?", to odpowiedzieliśmy "Charaszo, tylko ten Wasiliewicz tak na nas haukał!" . Kierowniczką się uśmiechnęła i poszła zadowolona.

Jak się skończyła robota na polu, to dali nas do cukrowni. Tam też nie było źle. W cukrowni bowiem był "malas" - melasa, taki syrop, który odchodzi przy produkcji cukru. Było to coś tak słodkiego, jak miód! Z tego robili wódkę, i ludzie zaczęli handlować. Roskom nie wolno było, ale w tym czasie w Olchowatce to już było "polskie prawicielstwo" /Związek Patriotów Polskich/ To już było po amnestii; nie rządzili oni /ruscy/nami, tylko to "Prawicielstwo". Jeśli ktoś z Polaków coś zawirzył, to już oni /Rosjanie/ nie sędzili, tylko nasi. Więc nasi zaczęli tam handlować, a wśród naszych było tam dużo Żydów- a Żyd jak Żyd- zawsze to handel!

Zorganizowano zebranie, na którym powiedziano, że nie wolno handlować- więc zaczęli się z tym ukrywać. W nocy jeździli do pobliskiego miasteczka, Rossoszy, odległego o 20 km, pociąg- taka ciuchcia- po buraki. Stamtąd przywozili buraki do cukrowni. Tak więc. nocą ludzie jeździli do tej Rossoszy z melasą.

W Olchowatce było wielu Polaków. Zakwaterowali nas w nieczynnym przedwojennym szpitalu. Pod jednym względem było tam źle: nie było czym palić. W szpitalu było kiedyś centralne ogrzewanie, ale teraz było nieczynne. Do pokojów szpitalnych dali nam takie żelazne piecyki "kozy" , od których szły rury do ściany na zewnątrz.

A palić - nie było czym! Czym chcesz. Sami Ukraińcy mieli tam trudności z opałem. Robili sobie takie kiziaki /słoma zmieszana z nawozem/- a myśmy nie mieli ani słomy, ani niczego. Trzeba było chodzić daleko do lasu. Ja sama niosłam z lasu gałęzie trzy kilometry, na plecach, bo musiałam przecież napalić.

Gdy skończył się sezon w cukrowni, dali nas do pracy do mleczarni. Tam też nie było źle, bo była śmietana. Była tam taka beczka, do której wlewano śmietanę; kręciło się ręcznie tę beczkę korbą, i "bełtało się" masło. Śmietana znajdowała się w dużym zbiorniku- jakby balii, więc gdy człowiek nalewał śmietanę do tej beczki, to mógł się napić. W każdym razie nie byliśmy już tam głodni.

Pewnego razu- już po sezonie, gdy w mleczarni nie było specjalnie co robić- dali nas aby posprzątać podwórko. A do mleczarni musieli przywozić jakieś drzewo na opał, bo inaczej mleczarnia by stanęła. Podczas sprzątania powiedziałam do kobiet, że nie mam czym palić; one mi poradziły "Da ty bieri!" /Bierz!/. A było to niedaleko od mojego mieszkania, tak jak przez szerokość ulicy. "Bieri" - to "bieri". Wzięłam tych gałęzi, przeszłam przez dziurę w ogrodzeniu /bo tam była sztacheta obluzowana/ i zniosłam do domu. Przyszłam znowu do pracy, a kobiety mówią "Bierz jeszcze!" Była to takie swojskie, dobre kobiety. Wzięłam więc jeszcze raz, wychodzę przez tę dziurę- i sam dyrektor mnie złapał!

Dyrektor zorganizował sąd pokazowy. Kazał jakiemuś chłopu pozabierać drzewo z mojego domu, te wszystkie gałęzie, jako dowód rzeczowy. A niedługo przedtem, na jednym z zebrzań, dyrektor wyczytywał, kto jest stachanowcem, i wyczytał mnie na pierwszym miejscu. A tu po tym wszystkim ja wzięłam gałęzie! Więc na tym sądzie pokazowym powiedział, że ja chyba zwariowałam! I od jutra ma nie przychodzić do pracy. Nie dali mi żadnej kary, bo to już było za czasów "polskiego prawiłielstwa". Gdyby to było przedtem, to na pewno by zasądziili. Gdy byliśmy jeszcze w kołchozie, jedna z pracownic ukradła rzodkiew pastewną. Można ją było jeść, zwłaszcza z głodu. Pracownica poszła siedzieć- dostała rok więzienia. To było w kołchozie w Olchowatce.

Jak mówiłam, dorabialiśmy sobie handlem melasą. Była tam np. pani Tymińska, z dwojgiem dorosłych dzieci, synem i córką. One pracowały, a ona już była starsza, nie pracowała, i tak sobie tym syropem dorabiała.

Jazda "ciuchcią" obfitowała w momenty zabawne, a czasem dramatyczne. To było dwadzieścia kilometrów; pewnego razu, pod górę to popychaliśmy kolejkę! Wyszedł maszynista i mówi "Wychadi, bu- diem pchat". Koła się ślizgały, i zamiast do przodu, ciuchcia

jechała do tyłu! Oprócz wagoników do przewozu buraków, w składzie kolejki były też kryte wagony, i jak jechaliśmy w tamtą stronę, do Rossoszy, to w wagonach krytych, a z powrotem- to jak popadło. Czasem trzeba było jechać na otwartych platformach, mimo mrozu. Kiedyś pamiętam jechałam właśnie na tych burakach i tak zmarzłam, że nie mogłam zejść z buraków; ale po jakimś czasie to przemarznięcie mi przeszło. Ale nie było innej rady- ^{unierac} ~~handel~~ z głodu nie ma sensu. A to nie jest takie wielkie przestępstwo-

Do transportu melasy kupiłam sobie kanister, taki od benzyny; wchodzi tam chyba 20 litrów. Kiedyś gramolę się z tym kanistrem do pociągu, a w tamtą stronę jechały puste wagony; ubrana byłam ciepło, bo był mróz, opatulona byłam chustką, tylko oczy było mi widać, a jeden ruski mówi do swojego kolegi: "Ty, pomogi babuszkie" /"Pomóż babci!"/ A ja wtedy jeszcze nie byłam "babuszką" przecież! Ale ten drugi odpowiedział: "Kakaja tiebie babuszka- eto szpiekulantka!" /"Co to za babcia- to spekulantka!" Po przyjeździe do Rossoszy szliśmy do jednej babki znajomej, która przyjmowała na noc takich "szpiekulantów". Ona robiła też z melasy wódkę; widziałam jak się to robi, jak z aparatu kapie samogon kap, kap, kap... Melasę sprzedawaliśmy na szklanki; kosztowało to zdaje się rubel szklanka- to było bardzo drogie. Ale ci co robili samogon, to zarabiali jeszcze więcej od nas.

W Olchowatce w tym czasie nie było soli, a w Rossoszy była, więc jadąc z powrotem wiozłam sol na sprzedaż. I tak się handlowało, aż do wyjazdu.

W czasie kiedy jeszcze pracowałam w cukrowni, na handel jeździłam tylko od czasu do czasu- jak było wolne. Miałam wtedy dwadzieścia znajome: jedną Białoruskę, i jedną młodą dziewczynę, Polkę, z którymi postanowiłyśmy pohandlować. Wybrałyśmy się jechać, ale postanowiłyśmy przedtem coś zrobić aby było w domu czym palić. Postanowiłyśmy iść do cukrowni, ukraść węgla; w ogrodzeniu była dziura, przez którą można było przejść i nabrać tego węgla. Był to węgiel kamienny- dla potrzeb cukrowni skądś go przywozili.

Weszłyśmy więc za ogrodzenie, a tu z tyłu pojawił się strażnik: "dawaj, wysypaj!" /Wysypujcie!/. Zaprowadził nas na portiernię, i mówi: Siadajcie, jak przyjdzie "naczalnik" to się z wami rozliczy. Nie było rady- usiedliśmy na ławach i czekamy. O dziesiątej strażnicy się zmieniali. Gdy przyszli nowi, jeden z nich na mnie popatrzył. Miałam wówczas na sobie kożuch męża, ale już od tego handlu ubrudzony "uszmelcowany"; w tym czasie mężczyźni byli na wojnie, zastępowały ich kobiety, i między innymi były też kierowcami ciężarówek. Więc ten strażnik spojrzał na nas i mę-

wi: "A eto czto za szofiera?" /Co to za szoferzy?/; ale drugi odpowiedział: "Gdybyś ty nie miał czym palić w piecu, to też byłbyś "szoferem". Ten pierwszy zrozumiał, że kradliśmy węgiel. Czekaliśmy więc aż do rana na komendanta. Gdy przyszedł, machnął tylko ręką i powiedział "Idźcie do domu". Ale to było tak dlatego, że nas już w tym czasie nie mogli sądzić. Był to już rok 1945. W Olchowatce powstał Związek Patriotów Polskich którego przewodniczącym został niejaki Najkron, wysoki mąż - czysta. Zorganizowano też polską szkołę, w której nauczycielem był jakiś Żyd. Pozbierali wszystkie dzieci - i małe, i starsze, takie po 15 lat - wszystkich, którzy przez te lata nie chodzili do szkoły. Również i mój mały Janek tam się dostał, chociaż nie miał jeszcze 7 lat. Chodził do tej szkoły prawie rok, i ma świadectwo szkolne.

Polska Szkoła
w Olchowatce (Z.S.S.R.)

Zaświadczenie

Niniejszym zaświadczaamy, że
Dąbrowski Jan uczęszczał do tej
klasy szkoły polskiej w Olchowatce



Olchowatka 13-II-46r.

L. Rak
W.M.

Świadectwo szkolne Janka Dąbrowskiego.

W 1946 r. zostaliśmy repatriowani. Żegnano nas bardzo uroczysto- zrobiono przyjęcie, na którym grała orkiestra, odbyła się zabawa taneczna. Przemawiał jakiś dostojnik i wspominał, jak to Polacy dobrze pracowali.

Przed repatriacją zawierano mieszane małżeństwa polsko- ukraińskie. Zgodnie z umową repatriacyjną, oboje małżonkowie mogli wyjechać do Polski- małżeństw nie rozdzielano.

Opowieść tę uzupełnił syn p. Elżbiety, Jan. Pamięta, że Olchovatka znajdowała się nad rzeczką. Był to rodzaj miasteczka. Oprócz wspomnianej mleczarni i cukrowni znajdowały się- za długim płotem- jakieś duże hale fabryczne nieczynnej fabryki, może ewakuowanej? Był też szpital z nieczynnym centralnym ogrzewaniem, w pokojach stały dymiące żelazne piecyki. Jakaś rodzina uległa z tego powodu zaczadzeniu.

Na rynku w Olchovatce można było kupić świetny, słodki napój: mors. Koło Olchovatki było mnóstwo sadów z drzewami owocowymi takimi jak w Polsce: jabłoniemi, gruszkami, śliwkami, wiśniami.

--- --- ---

W 1946 r przez Charków i Kawę Ruską przyjechaliśmy do Polski, do Legnicy.

4. W P o l s c e .

Gdy przyjechaliśmy z Ukrainy- a było to w nocy- usłyszałam na torach przekleństwa "Ach, verfluchte..." i okrzyki "Schnell, schnell..."- bo to Niemcy pracowali przy torach, i pomyślałam sobie, że z Rosji przyjechałam do Niemiec!

Po przyjeździe do Legnicy chciałam syna zapisać do szkoły, ale go nie przyjęli, bo był jeszcze za młody. Tymczasem ja musiałam iść do pracy.

Pamiętam, że jeszcze w tym czasie byli w Legnicy Niemcy. Niektórzy z Polaków z pomocą Milicji wyganiaли Niemców i zabierali ich mieszkania. Ja tak nie mogłam. Myślałam sobie, że przecież mnie też tak wyrzucili! Pozatym było wtedy pełno pustych mieszkań, nie trzeba było nikogo wyganiać. No, ale każdy wybierał lepsze. Zamieszkaliśmy początkowo koło dworca kolejowego, po drugiej stronie ulicy, pod szóstką. Mieszkanie było puste, trzeba było tylko wypełnić wniosek i zgłosić w Zarządzie Miejskim.

Ja poszłam do pracy, a babcia opiekowała się domem. Najpierw pracowałam w majątku ziemskim, ale potem znajomy, który pracował w mleczarni, zaproponował mi tam też pracę. Była to praca lżejsza

niż na roli w majątku. Przy mleczarni skupywali wtedy też jajka i wysyłali je do Wrocławia. Zostałam więc kontrolerką jajek - sprawdzałam, czy nie są rozbite lub zepsute. Potem zorganizowano prawdziwą jajczarnię. Urządzono czterotygodniowy kurs, na którym dokładnie zapoznano nas z budową, własnościami i przechowywaniem jaj. Zdałam z wynikiem dobrym; gdybym umiała więcej wiadomości z polityki, to zdałabym na bardzo dobry, bo za Stalina kto politykę znał dobrze, ten zdawał wszystko na bardzo dobry.

Po kursie pracowałam jako świetlarka, t.zn. przy prześwietlaniu jaj. Z czasem przyszły maszyny, i prześwietlanie odbywało się automatycznie. Jaja przesuwaly się po transporterze, a pod spodem były żarówki. Jajka z wadami się odkładało, Jajka na eksport musiały mieć odpowiednią wagę, więc były automatycznie ważone. Pracowałam tam aż do emerytury, którą uzyskałam w 1972 r.,

Syn ukończył najpierw technikum, potem odbył służbę wojskową, a następnie ukończył we Wrocławiu na Politechnice studia zaoczne. Obecnie pracuje w elektrociepłowni. Jest żonaty, ma jednego syna i córkę.

Już po przyjeździe do Legnicy dowiedziałam się o śmierci męża. Jak mówiłam, męża nie było w domu w dniu naszego wywozu - był w Wołkowysku. Gdy stamtąd przyjechał, nas już nie było, byliśmy w tym czasie już w Mińsku. 22 czerwca zaczęła się wojna i przez Porozów przetoczył się front. Gdy zaczęła się strzelanina, mąż poszedł do siostry Jacewiczowej, której mąż też nie został wywieziony. Tam wszyscy schowali się do piwnicy, gdyż była wielka strzelanina. Gdy nieco ta strzelanina ucichła, mąż wyjrzał przez jakieś okienko - a Niemiec go zauważył, i strzelił prosto w głowę, i zabił go. Nie wiedziałam o tym ani w Olchovatce, ani początkowo w Legnicy. Stale miałam nadzieję, że może on gdzieś jest? Z Sybiru nie wysyłaliśmy żadnych listów, ani oni do nas nie pisali - ale nadzieja jakaś była, że żyje. Gdy przyjechaliśmy do Olchovatki, zaczęliśmy już pisać listy do siostry i do brata Janka, który był w niewoli u Niemców. Przebywał w pobliżu Wałbrzycha, we wiosce Stare Bogaczowice, i tu został po wojnie. Siostra napisała do mnie, że Pawła nie ma i Janka też nie ma. "Nie ma" - to jednak myślałam sobie, że może gdzieś jest, może w niewoli?

Moja teściowa po przyjeździe do Legnicy poszła do Czerwonego Krzyża i poszukiwała swoich synów, młodszego Janka i mojego Pawła. Powiedzieli, że takich nie ma - a syn Janek był właśnie w Wałbrzychu - przecież nie tak daleko od Legnicy, chyba z 60 km!

Siostra już wiedziała o wszystkim, ale nie ośmieliła się do mnie napisać, nie chciała mnie martwić. Chyba po pół roku po naszym przyjeździe napisała jednak: "Kochana siostro, nie chcę Cię martwić, ręka mi drży- ale w końcu muszę ujawnić całą prawdę. Twój Paweł nie żyje już sześć lat". Uciekł z niewoli, jakoś przeżył- a zaraz po naszym wyjeździe go zastrzelili! I za co?

Potem nie miałam wyjścia i musiałam iść pracować - syn miał siedem lat...

- o -

Maria Jacewicz wróciła do Porozowa. Weronika po wojsku wyszła za mąż za oficera, majora. Prawie w rok po ślubie zginął w wypadku samochodowym. Weronika mieszka nadal w Warszawie, podobnie jak i moja młodsza siostra.



Paweł
Dąbrowski
Grodno,
lata
trzydzieste .



Kalza- rok 1943



Hegnica 1952

Elżbieta Dąbrowska

Łopiew 15. VI. 91.
K. 29. VI. 91

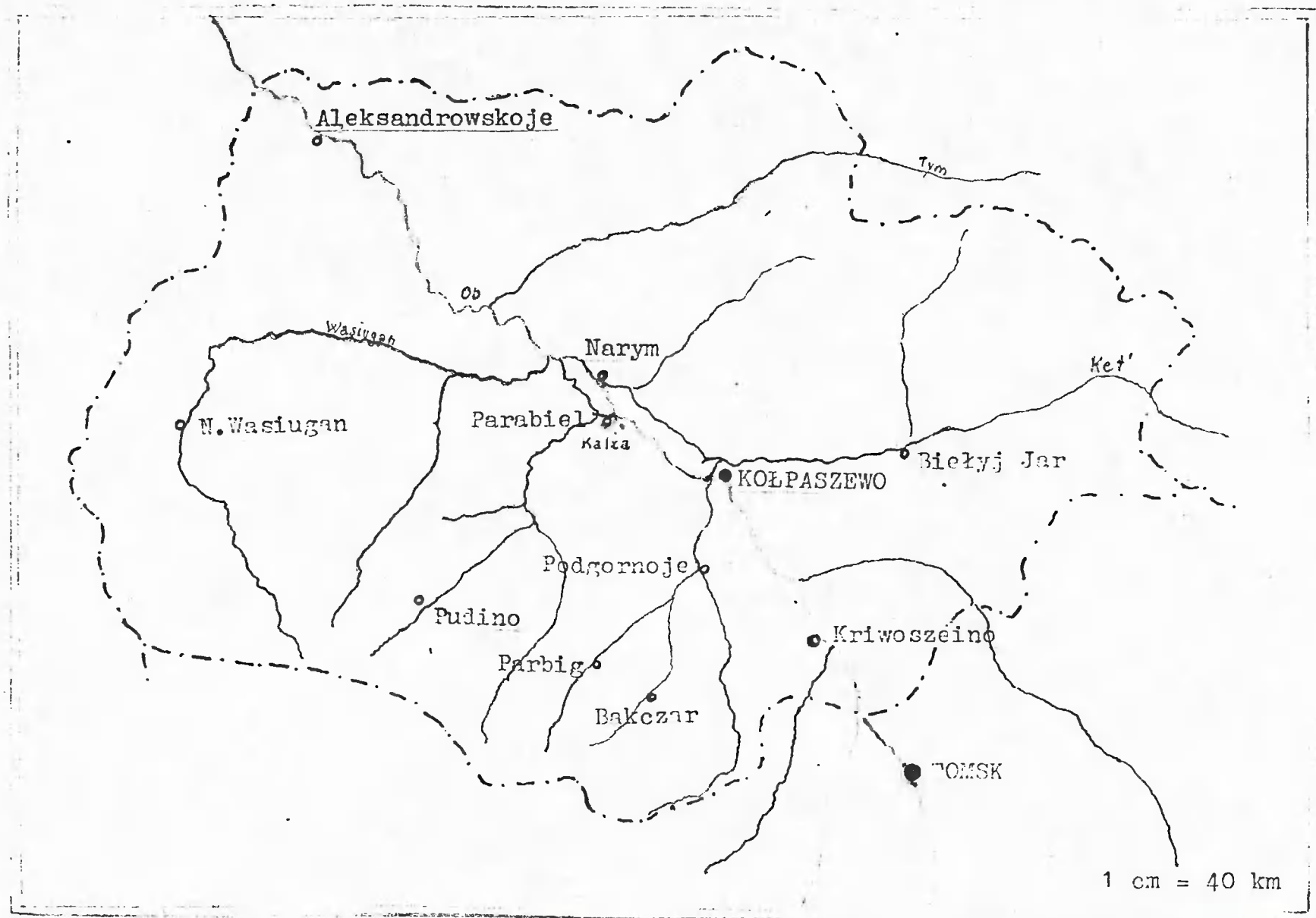
Szanowny Panie .

Dziękuję za życzenie świętowania
i noworocznego . Znamyśmy
wasz wyrok z niewielikimi
poprawkami oraz wyrażeniem
śmierdzącego szoku .

Zyczymy wspaniałego noworocznego
w Nowym Roku .

J. Dobroski





OKRĘG NARYMSKI